

# Kronika tygodniowa.

Ucichły surmy wojenne. Na poboju pod magistratem leżą jeszcze pukawki papierowe, na ścianach narożnych kamienic wiszą jeszcze strzepy odezów, zagrzewających do boju. Po knajpkach spotkasz zwycięsców, oblewających wiktoryę — tamże koją swe rany i zwyciężeni. Tylko u szeregowców z intelligencji są nosy na kwintę spuszczone, albowiem sroga dotknęła ich niedola. Zakpiono z nich siarczyście. Sądziło się, że stoczy się walka między zasadami demokratycznymi a urzędniczymi, że jedna z tych dwu stron otrąbi na polu bitwy zwycięstwo. Tymczasem wmiszał się do walki p. Beringer, najwybitniejszy tej kuryi przedstawiciel. I nie oparło się nic jego woli; pomieszał kandydatów i zrobił się groch z kapustą: wyszedł ksiądz obok żyda, demokrata obok konserwatysty. Oprócz wspólnych kandydatów, z „urzędników“ przeszło tylko tych dwu, jakich raczył przyjąć na swą listę p. Beringer. A jeżeli się weźmie na uwagę, że jeden z nich, jako profesor uniwersytetu, jest tylko *de nomine* urzędnikiem, bo żadnego urzędu nie sprawuje, a tylko bierze pensję rządową — to mający oczy ku widzeniu ujrżeli, jaką „klapę“ zrobiła wyborcza akcja urzędnicza.

Poza wolą p. Beringera rozgrywała się tylko walka wyznaniowa. Rzucono między żydów hasło, aby nie dawać głosów księdzu — nawzajem ze strony katolickiej wykreślano kandydata wyznania mojżeszowego. I okazało się, że w Krakowie jest więcej żydów, niż katolików, bo na ks. Caputę nie głosowało 1350 wyborców, a na p. Sarego nie głosowało tylko 900. Pozostała „bezwyznaniowa“ część wyborców oświadczyła się za obu kandydatami. Może zresztą katolików było więcej niż 900 (ściśle 897), ale, jak to stwierdził ks. biskup Nowak, rozpuszczono pogłoskę, jakoby konsystorz biskupi, względnie sam biskup „wpływał a nawet sam nacisk wywierał“, aby na liście urzędników umieszczono p. wiceprezidenta Sarego. Jestto drobny, ale piękny przyczynek, jakich śródeczek używano do otumanienia zwolenników listy urzędniczej. Pyszny jest również ów radca katolicki, co to poszedł na Kazimierz i wskutek tego ukazały się listy tylko z dwoma nazwiskami: Sare — Twaróg.

Ale wieczny odpoczynek wyborom i: niech żyją wybory! Odpoczynek miejskim, niech żyją parlamentarne. Zresztą i bez tego okrzyku żyć będą, bo tak chciał p. Bienenrth i na to muszą się zgodzić wszyscy pracujący nad zbawieniem c. k. ojczyzny. Kronikarz *Nowości* niema zamiaru brać czynnego udziału w nadchodzącym zmaganiu się wielkich mężów narodu, którzy geniusz swój i siły pragną ofiarować dla dobra społeczeństwa i w tym celu urządzić między sobą wielką bijatykę. Kronikarz wziąłby może udział, gdyby mu zapewniono choć dziesiąty procent od kwoty, którą złożą czcigodni obywatele kraju na rzecz wyborów. Ponieważ przy powszechnym głosowaniu (i to jest jego dobra strona) obrót pieniężny przy każdym osobno wyborze w Galicyi wynosi przeciętnie około 50,000 koron — przeto kwota wydana na uzyskanie zbawców ojczyzny dojdzie do 5 milionów. Dziesiątym procentem, wynoszącym pół miliona, gardzićbym nie mógł, a nawet bym coś jeszcze opuścił, gdyby się bardzo targowano. Mam też silne przekonanie, że za 5 milionów koron możnaby daleko więcej uczynić dla kraju, niż wysłać do Wiednia kopę Polaków, pół kopy Rusinów i koło dziesięciu żydów. I to jeszcze jakich Polaków, jakich Rusinów i jakich żydów! Gdyby to była sama „sól“, gdyby to były same „holowy“, gdyby to był sam „cymes“ — to co innego. Ale tegi poseł to istny raróg w tem gronie, natomiast pełno w niem głów do pozłoty, warcholów, hajdamaków, geszefciarzy. A przy tym obrocie finansowym nie sprawdza się nawet przysłowie: „głupi daje, mądry bierze“, coby poniekąd wyrównało szkodę moralną, jaką przynosi korupcja wyborcza. Ale głową muru nie przebijesz — będzie tak „jak buwało“. Oby tylko wyborcy poszli za przykładem braci śląskich z pod Prusaka, którzy przed paru miesiącami, tworząc radę nadzorczą stronnictwa, wybrali do niej między innymi dwu członków, z których jeden nazywa się Niedurny a drugi Polak. Boczego jak czego, ale prawdziwych Polaków i do tego niedurnych, bardzo nam potrzeba.

A z wyliczonych „trzech narodów“, jakie staną do urny, żadnego nie przenika taki zapal wojowniczy, jak żydów „niezawistych“. Dość przeczytać sprawozdanie ze zgromadzenia, jakie się odbyło w d. 1 kwietnia (proszę nie myśleć, że to *prima Aprilis*) przy ulicy Bocheńskiej na Kazimierzu. Było

to w sobotę, po czwartkowej bitwie z kuryi małego przemysłu. Więc też wszystkie przemówienia dyszały radością z odniesionego zwycięstwa. „We czwartek była bitwa — mówił dr Lauer — i zakończyła się naszą wygraną“. Radca Krongold, dziedzic ducha mężów rewolucyj francuskiej, wołał: „Naszym hasłem jest wolność, równość i braterstwo — pod tem hasłem i w przyszłości będziemy walczyli. Musieliśmy walczyć przeciw kahałowi, który sromotnie legł na placu, gdyż na jego kartkach stali obok siebie Wasserberg z Dutkiewiczem... Dlaczego kahał nie wybuduje łaźni?“ Z łaźni przeszedł mowca do okrzyku na cześć posła Grossa, a po nim poseł Landau mówił: „Ze sławą odparliśmy atak; słynnym będzie czwartek 30 marca! Tegoż zdania byli panowie Schmelkes, Pitzele i ostatni z przemawiających dr. Gross. „Wracacie z pola bitwy — mówił ten wódz do wiernych towarzyszy broni — wracacie jako zwycięscy. Mówiłem wam, że będziemy mieli naprzeciw siebie wielką linię frontową, jak w wojnie rosyjsko-japońskiej; musimy walczyć jak Japończycy... Wojsko nasze już rano było na polu bitwy...“

Z tych porównań i przenośni wojennych najlepiej widzimy, jaki duch ożywia te tłumy. Stąd nic dziwnego, że zamykając księgę przeszłości, poseł Landau wspominał o najbliższej przyszłości. „Oręża naszego zwycięskiego — wołał — nie wolno nam chować do pochwy, lecz należy go ostrzyć i trzymać w pogotowiu na czerwiec“. W tym duchu przemawiali i inni mówcy, aż wkońcu uchwalono „z wielkim zapalem“ rezolucję, „proklamującą kandydatem dra Grossa i wywołującą do energicznej walki, celem przeprowadzenia tej kandydatury“.

Widzimy więc, że jeden z trzech narodów stanął już pod sztandarem Bellony. Mołojce drugiego kłopotują obecnie Temide, ale nie jest im z tem do twarzy. Proces lwowski bardzo przykre czyni wrażenie. Oskarżeni wszystkiemu zaprzeczają, do niczego się nie przyznają, chcą zrzucić ze siebie odpowiedzialność na osoby fikcyjne. Gdyby otwarcie powiedzieli: postępowaliśmy tak, jak uważaliśmy za słuszne, chwycilibyśmy się tej broni, jaką uważaliśmy za najlepszą — to moglibyśmy tej słuszności nie przyznać, tę broń potępić, ale uznalibyśmy, że ci ludzie mają odwagę przyjąć na siebie odpowiedzialność za swoje czyny. Tymczasem ci bohaterowie zachowują się jak dzieci przyłapanie na psocie i pragnące wykpić się od różgi. Bez względu, jaki wyrok zapadnie, szacunku dla siebie wzbudzić nie mogą.

Trzeci naród, mający stanąć do boju, zajmuje się przedewszystkiem kłótnią o to, gdzie postawić pomnik Kościuszki, a następnie procesem Kanarkowym w Tarnobrzegu i footballami, którym „z nieśląbną ciekawością przyglądają się tłumy publiczności“ (słowa sprawozdawcy). Co prawda, mówię tylko o krakowskiej części tego narodu, bo może Lwów z prowincją interesuje się czemś więcej niż tem, co bają członkowie „11 kulturalnych instytucji“, w jakim pan Paduch jest humorze i w czyich nogach spoczywa sława „Cracovii“ lub przyszłość „Wisły“.

Czerwcowymi wyborami na razie z „trzeciego narodu“ zajmują się najsilniej ludowcy, których rada naczelna obradowała w Krakowie. W państwie tem się coś psuje. Oprócz istniejącej już frondy, nastąpiło starcie na tle jakości kandydatów. Pan Stapiński jest zdania, że należy wybierać chłopów, bo pomiędzy ślepymi i jednookim królem. Krakowscy zaś ludowcy sądzą, iż rzucanie bezwzględnie hasła „chłopi wybierajcie chłopów“ nie odpowiada ani interesom ludu, ani interesom stronnictwa (a czy można zapominać o interesie pana Stapińskiego?). Oczywiście, że słuszność leży nie po stronie p. Stapińskiego. U Rusinów wybierają prawie sami chłopci, a posłuje do Wiednia tylko intelligencja. Bo trzeba mieć braki po ważne w umyśle, lub w dobrej woli, aby sądzić, że na gruncie wiedeńskim wystarczą ludzie bez wykształcenia.

W samym Krakowie, poza przygotowaniami żydowskimi, jeszcze zupełna cisza. Bo i po co na przód mózg wysilać, kiedy są tacy, co chcą ofiarować swe siły państwu i krajowi; porozumieją się oni na czas ze sobą: ty staniesz tu, ja stanę tam, ty mnie poprzysz, ja ciebie poprę — i będzie zgoda. Będzie *Czas* popierał demokratę, aby przemycić w innym okręgu konserwatystę, będzie *Reforma* przemawiała za konserwatystą, aby w innych dzielnicach przeszli demokraci. Poczciwie dusze zawsze się zgodzą, gdzie idzie o interes... kraju (kto chce, może przeczytać: gdzie idzie o interes jednostek). A zanim te układy zostaną zawarte, narodek sobie śpi — a po ich zawarciu przewróci się na bok drugi i spać będzie aż do 13 czerwca.

W tymże czasie wyścigów o mandaty, będą już i prawdziwe wyścigi na Błoniach. Jestto jeden ze zbytków krakowskich, bo po co sprowadzać z dalekich stron jakieś szka ięta, kiedy hodowla wyścigowych koni w Galicyi niema żadnej przyszłości. Obdziera się tylko trochę totalizatorowiczów, aby zapłacić żokejów. A żokeje, czy dżokeje (mówiąc nawiasem), nie mają się już więcej nazywać dżokejami, bo w Warszawie ogłoszono konkurs na polską nazwę takiego chudego i polamanego pana, co jest kandydatem do rozbicia ła przy przesadzaniu przeszkody.

Ale choć koni u nas niema, a wyścigów jest pięć dni zaledwie, gra w totalizatora odchodzi u nas przez dwie trzecie roku. Masz w Krakowie całą gromadę ludzi, co myślą tylko o tem, czy postawić na „Kakewalka“, czy na „Jupe culotte“, na „Bimbambum“ czy „Tyndyrynde“. A jeżeli się zdecydują, to biegną do założonej w Krakowie ku ich uszczęśliwieniu filii p. Lackenbachera i wyciągają nieraz ostatnią dziesiątkę z kieszeni, aby próbować szczęścia w Wiedniu, Alag, Badenie lub w Budapeszcie. Warto posłuchać ich rozmów: jak oni znają wszystkie konie, choć ich na oczy nie widzieli, jak wiedzą, jaką każda szkap ma wagę, kto ją rodzi, kto jej dosiada, kiedy była pierwszą, drugą, trzecią z jakimi końmi biegła, ile za nią płacono na „Sieg“, a ile na „Platz“. Jeżeli się paru takich znawców razem zejdzie, to przysięgłobyś, że to właściciele stadnin, a przynajmniej dżokeje, startery, handicaperzy. Słuchasz, a nic nie rozumiesz, bo mówią językiem końsko-angielskim, przeplatając go polskimi wyrazami. Pomimo jednak tego znawstwa, „przerzynają“ zazwyczaj, bo „szelma“ Tyndyrynda wyrwała się przy starcie, lub łajdak (tu nazwisko dżokeja) lekceważył bieg i zapóźno wstąpił udział w finiszu. I ciagle spotykają ich takie nieszcześcia, ciagle napychają kieszenie bookmacherom, bo nie chcą uznać mądrości przysłowia: „nie graj Wojtek, nie przegrasz zip kilotek“.

Ale mniejsza o totalizatora, bo oto nadchodzą święta, poprzedzone rzezią niewiniątek. Będziemy dzielili się jajkiem święconem, będziemy się znęcali nad śmiertelnymi szczątkami wieprzów, prosiąt, cieląt, indyków, będziemy robili dowcipy na temat wyrośniętych i pulchnych bab, będziemy pili wszelką lurę, uznając ją za czystego węgryna. Będziemy chwalili mazurki i placki „własnej roboty“, będziemy całowali się z dubeltówki i przysięgali sobie miłość aż... do dnia ostatniego.

Żart żartem, ale pomimo wszystkich utyskiwań, pomimo rozumnych wywodów, że święcone „nie ma sensu“, że jest grobem oszczędności, hodowlą obżarstwa i pijaństwa — przecież to wielkocenne święcone ma swój urok, jest pewną przerwą jednostajności życia, oderwaniem się od codziennych kłopotów, spójnią towarzyską, środkiem do wylewu uczuć serdeczniejszych. Więc choć to „głupia tradycja“, nie bądźmy zanedo rozumni i obchodźmy ją jak nas stać, życząc sobie, abyśmy doczekali nowego święconego i aby za rok było nam, jeżeli nie lepiej, to przynajmniej nie gorzej.



DOSTAWCA DLA ZWIĄZKU LEKARZY  
**B. WIERZEJSKI**  
 Kraków, Rynek, róg ul. Floryańskiej. Tel. 0368.  
 POLECA:  
**WIOSENNE PŁASZCZE ANGIELSKIE**  
**KAPELUSZE i CZAPKI.**  
 Świeży transport na sezon 1911! Wybór wielki!

MAGAZYN GOTOWYCH UBRAN MĘSKICH

„SZATNIA“

(Spółka z ogr. odpowiedzialnością)

w Krakowie, Sławkowska 14 (vis à vis Grand Hotelu)

poleca:

Bogaty wybór palt angielskich, zarzutek i ubrań marynarkowych, żakietowych i anglezowych.

Wśród drzew szpilkowych pierwszorzędną

**KAWIARNIA J. BISANZA**

w Krakowie, przy ul. Dunajewskiego 1, parter.